

OSTATNI ŻYWY ŚWIADEK

PRAWDZIWA HISTORIA
NAJWIĘKSZEGO SERYJNEGO MORDERCY
W HISTORII
TEDA BUNDY'EGO

Copyright © 1999 by Stephen G. Michaud, Hugh Aynesworth,
The Only Living Witness: The true story of serial sex killer Ted Bundy

All rights reserved

Wydawnictwo Bez Fikcji

Oświęcim 2019

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Michał Swędrowski

Korekta:

Dariusz Marszałek

Anita Szymańska

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Dystrybucja: ATENEUM www.ateneum.net.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-115-2

STEPHEN G. MICHAUD
HUGH AYNESWORTH

OSTATNI ŻYWY ŚWIADEK

PRAWDZIWA HISTORIA
NAJWIĘKSZEGO SERYJNEGO MORDERCY
W HISTORII
TEDA BUNDY'EGO

Tłumaczenie
Mateusz Grzywa

OŚWIĘCIM 2019

PRZEDMOWA

Ted Bundy wybija się na tle pozostałych osławionych seryjnych morderców dwóch minionych dekad. Zanim zaistniał w publicznej świadomości, większość ludzi zakładała, że człowieka zdolnego dopuścić się tak potwornych zbrodni można bez trudu zidentyfikować. Bob Dekle, jeden z oskarżycieli Bundy'ego, stwierdził: „Ludzie myślą, że przestępcy to garbate, zezowate potwory, prześlizgujące się gdzieś w mroku i pozostawiające za sobą śluzowate ślady. A jednak są oni istotami ludzkimi”.

Badacze anormalnych zachowań kryminalnych rozumieją ten istotny fakt. Nie licząc pewnych skrajnych przypadków psychotycznych postaw, przestępcy seksualni zazwyczaj wyglądają i zachowują się jak wszyscy inni. Z mojego doświadczenia wynika, że przytłaczająca większość przestępców rytualistycznych (a Ted Bundy jest tu przykładem pierwszorzędny) to biali mężczyźni z klasy średniej o europejskich korzeniach.

Inne szeroko znane przykłady to: William Gacy, seryjny morderca młodych mężczyzn i kobiet z Illinois, David „Syn Sama” Berkowitz, Albert DeSalvo, czyli „Dusiciel z Bostonu”, a także Harvey Glatman, „Morderca Samotnych Serc”, który dzięki zbrodniom popełnionym w połowie lat 50. w południowej Kalifornii stał się pierwszym szeroko znanym seryjnym mordercą. Wszyscy ci mężczyźni byli inteligentni, elokwentni i z zamiłowaniem dopuszczali się mordów na tle seksualnym.

Ale patrząc na nich, nie dało się tego domyślić. W życiu codziennym niczym się nie zdradzali.

Kariera Bundy'ego okazała się dla nas najbardziej spektakularną lekcją pogładową. Był pierwszym z tak zwanych morderców „od wybrzeża do wybrzeża”, wzorcem podróżującego seryjnego mordercy, który wykorzystywał to, co Bundy nazwał

„czynnikiem anonimowości”. Był też pierwszym mordercą-celebrytą, wytrawnym aktorem, który błyszczał w telewizji, a jego twarz, głos i postawa w sądzie stały się znane w całym kraju.

Jednym z najcenniejszych osiągnięć książki Stephena Michauda i Hugh Ayneswortha jest zdemaskowanie Bundy’ego. Publikacja opowiada głównie o zakulisowych wydarzeniach z jego życia, a autorzy zgłębiają skomplikowaną psychikę głęboko nieźrównoważonego, emocjonalnie rozchwianego młodego mężczyzny, który wcześniej zawsze chował się za sprawiającą wrażenie normalności fasadą. A fakt, iż udało im się to osiągnąć przy jego gorliwej współpracy, świadczy o ich umiejętnościach dziennikarskich.

Jednak jeszcze większym osiągnięciem niniejszej książki są prowadzone w trzeciej osobie rozważania Bundy’ego, „spekulacje” na temat seryjnych morderstw – w oparciu o jego własne doświadczenia. Nie tylko podzielił się z autorami trafną i pouczającą rekonstrukcją poszczególnych etapów prowadzących do morderstwa (w tym wczesnych objawów dewiacji, takich jak oglądarkość), ale też potwierdził wiele spostrzeżeń, do których w toku rozmów ze schwytanymi zabójcami doszli moi koledzy z Jednostki Nauk Behawioralnych FBI¹.

Choć Bundy nie przyznał się Michauldowi i Aynesworthowi do zarzucanych mu zbrodni, odsłonił przed nimi najpełniejszy autoportret namalowany kiedykolwiek przez seryjnego mordercę. Jego słowa ani trochę nie straciły na znaczeniu i właśnie dlatego niniejsza książka jest równie wyjątkowa jak jej bohater. Wszyscy możemy wyciągnąć z niej wnioski.

Roy Hazelwood, czerwiec 1999 r.

¹ Michaud i Aynesworth nagrali kilkadziesiąt godzin rozmów z Bundym. W 1989 roku opublikowali zapisy najważniejszych ich fragmentów w książce *Conversations With a Killer*, która stała się bestsellerem „New York Timesa”. W 2019 roku ukazało się jej polskie wydanie: S.G. Michaud, H. Aynesworth, *Ted Bundy. Rozmowy z mordercą*, tłum. M. Grzywa, Wydawnictwo Bez Fikcji, Oświęcim 2019. Warto też dodać, że na podstawie obu książek duetu dziennikarzy powstał serial dokumentalny *Rozmowy z mordercą. Taśmy Teda Bundy’ego* (*Conversations with a Killer: The Ted Bundy Tapes*, reż. J. Berlinger, Netflix, 2019) – przyp. red.

PROLOG

Po raz ostatni widziałem Teda pewnego paskudnego dnia na początku czerwca. Słońce Florydy prażyło od samego rana, powietrze aż pęczyło tą cuchnącą gąbczastością, która dusi oddech i sprawia, że skóra wydaje się lepka i brudna.

Jechaliśmy z Hugh autostradą nr 100 w kierunku południowo-wschodnim, z motelu Quality Inn w Lake City do więzienia o maksymalnym rygorze w pobliżu odludnej wsi Raiford. To nieco ponad pięćdziesięciokilometrowa podróż przez środek północnej części stanu – płaski, monotonny pas rozrzuconych gdzieniegdzie sosen i gospodarstw rolnych. Nie jest to Floryda znana z South Beach, Disneylandu czy pomarańczowych sadów. Krajobraz jest tam wiejski, przeważnie ubogi i bardziej przypomina zaścianki południowej Georgii niż turystyczne okolice w głębi półwyspu, bliżej Orlando.

Minęliśmy sklep serwujący darmową kawę policjantom z drogówki. Nieco dalej przy dwupasmowej szosie znajdowało się miasteczko Lulu z urzędem pocztowym i zawsze wypełnionym kościołem baptystów. W tej części Florydy modlitwy i śpiewy (a także tupania i krzyki) w imię Pana niosą się głośnym echem. W samochodowym radiu mieliśmy do wyboru wiadomości rolnicze, country albo gospel.

Na horyzoncie pojawiła się wielka ciężarówka. Miejscowi są przyzwyczajeni do ryku silników tych przetaczających się autostradą nr 100 pojazdów. Przywykli też do plam futra, piór i kości wsmarowanych w asfalt przez ciężkie koła ciężarówek. Myszołowy i kruki uwijają się przy autostradzie nr 100 jak dziwki przy Ósmej Alei, jednym okiem pilnują interesu, drugim wypatrują zagrożenia. Gdy nadjeżdża samochód lub ciężarówka, padlinozercy wzlatują akurat na tyle, by unieść się nad dachem niebez-

piecznego pojazdu. A potem znowu opadają na jezdnię. Raz na jakiś czas co wolniejszy ptak myli się w ocenie wysokości ciągnika lub nie zauważa, że potężna maszyna jest tuż za nim.

Była dopiero 8.30 rano, ale od asfaltu już biły fale żaru. Skręciliśmy i droga otworzyła się na rozległą równinę. Po prawej mieliśmy Zakład Karny Union, który mieści się w hrabstwie Union, a dalej Więzienie Stanowe Florydy, zaledwie rzut beretem za New River, ale już w hrabstwie Bradford. Otepiona upałem i wysoką wilgotnością powietrza więzienna trzódka stała w bezruchu na poboczu. Spożywane przez więźniów mleko często miewa posmak ziemi. Pomiedzy krowami, pod okiem umundurowanych strażników ze strzelbami opartymi na przedramionach i w odbijających promienie porannego słońca okularach słonecznych na nosach, pracowały grupki osadzonych.

Wszystko to tworzyło oklepaną wizję czystości: posępni, powłóczący nogami skazańcy harujący pod palącym słońcem, które lśni w soczewkach okularów ich stróżów. Bezruch i nieogarniona daremność są typowe dla wielu więzień, ale tego dnia ze względu na nasz nastrój po prostu bardziej rzucały się w oczy. Hugh kaszłał i pociągał nosem przez jakąś infekcję dróg oddechowych. Mój mózg lasował się od kaca, a żołądek bolał od nadmiaru czarnej kawy i aspiryny.

Przyjeżdżałem do tego więzienia na spotkania z Tedem od miesięcy. Za każdym razem zagadywał mnie jakiś odziany w niebieski drelich zaufany więzień¹, który opierał się o grabie na parkingu i chciał wiedzieć, czy jestem adwokatem. Tym razem, ku mojemu zaskoczeniu, po nagabujących nas przestępcach nie było śladu. Zniknęły też hałaśliwe mewy, które wiosną krążyły i skrzeczały nad więzienną kuchnią albo gderwały po swojemu w cieniu wież strażniczych. Wielu osadzonych zarzekło się, że w sezonie na mewy z podejrzenie wysoką częstotliwością serwują im potrawkę z kurczaka.

¹ Chodzi o osadzonych, którzy nie stwarzają zagrożenia ucieczki i cieszą się większą swobodą w zakładach karnych – przyp. tłum.

Za tego rodzaju obawy odpowiada w dużej mierze monotonia więziennego życia i uwsteczniające skutki długotrwałej izolacji. Wielu osadzonych szuka kryjówki w szczeniackim narcyzmie: z wręcz mniśią skrupulatnością pracują nad swoimi ciałami, zagłębiają się w literaturę na temat diet i zdrowego odżywiania, spędzają całe godziny na pieczołowitej, pełnej czułości trosce o włosy, skórę, zęby, dłonie i stopy.

Jak na ironię, neurotycznej pielęgnacji sprzyja środowisko więzienne, które – pomijając oczywiście przemoc oraz oddziaływanie narkotyków i alkoholu – jest fizycznie zdrowsze, niż znany większości osadzonych świat na wolności. Na pewnych płaszczyznach więzienie przypomina szklarnię. Więźniowie wegetują w nim jak egzotyczna flora. Wiodą uporządkowane życie, są na zbilansowanej diecie, a izolacja chroni ich przed wieloma chorobami zakaźnymi oraz większością fizycznych zagrożeń zdrowia obecnych we współczesnym świecie. Kształtują ich o wiele bardziej złowrogie czynniki.

Skazańcy co do zasady starzeją się wolniej od ludzi z zewnątrz. Mimo to nieustannie martwią się o zdrowie. Część lokatorów Więzienia Stanowego Florydy dała sobie wmówić, że wątróbka wołowa z więziennej rzeźni, świeżo wykrojona i po uboju natychmiast zapakowana do plastikowych toreb, to ulubiona zabawka do masturbacji pracowników kuchni. W rezultacie wielu z nich odmówiło spożywania wątróbki wołowej z powodów natury psychologiczno-higienicznej.

Jeszcze większy strach i bardziej niepokojące plotki dotyczą personelu medycznego. Jedna z szeroko powtarzanych za murami opowieści głosiła, że pewien osadzony otrzymał zastrzyk z powodu zaropiałego zęba. Igła chybiła, a on nabawił się infekcji ucha. Po operacji ogłuchł na to ucho, a infekcja zaatakowała drugie. Podczas drugiej operacji lekarz źle obszedł się ze skalpelem i wykroił mu oko. Koniec końców człowiek wrócił do celi

głuchy, ślepy na jedno oko, a także bez ręki z powodu powikłań wywołanych niewłaściwie podanym anestetykiem.

Kiedy wyszliśmy z Hugh z wynajętego samochodu i ruszyliśmy w stronę więzienia, powitała nas miliardowa chmara brzęczących insektów. Przed nami stała pastelowo-limonkowa budowla otoczona podwójnym rzędem siatki zwieńczonej drutem kolczastym. Pomiedzy ogrodzeniami ciągnie się pusta przestrzeń, którą dawniej patrolowały psy strażnicze. Groźnie wyglądające dobermany i owczarki niemieckie musiały przejść w stan spoczynku, po tym jak dwa z nich towarzyszyły więźniom w próbie ucieczki.

Theodore Robert Bundy znajdował się wśród ponad 1400 przestępców mieszkających w Więzieniu Stanowym Florydy. Wraz z mniej więcej 180 innymi osadzonymi był przetrzymywany w skrzydłach Q, R, S i T – największym bloku zamkniętych na wszystkie spusty cel śmierci w Stanach Zjednoczonych. Ci mężczyźni nie mieszała się z resztą populacji zakładu. W przypadku Teda oznaczałoby to niemal pewną napaść ze strony innych więźniów. Ich pierwotna wersja sprawiedliwości nie przewidywała litości dla tak zwanych gwałcicieli dzieci.

Ted i pozostali więźniowie cel śmierci spędzali niemal cały czas samotnie, w pojedynczych celach, i czekali na dzień, w którym zjawi się strażnik, i – jak głosiła opowieść – włoży skazańcowi na penis ciasną gumową opaskę, wetknie mu bawełnę w odbyt i poprowadzi do Starej Iskierki, czyli na krzesło.

John Spenkelink² został stracony właśnie w Więzieniu Stanowym Florydy (wiosną 1979 roku Ted zajmie jego dawną celę). W dniu jego śmierci znany didżej z Jacksonville puścił w radiu nagranie skwierczenia smażonego bekonu i zadedykował je umierającemu mordercy.

² Spenkelink był drugą osobą w Stanach Zjednoczonych, na której wykonano wyrok śmierci (w maju 1979 roku), po przywróceniu wykonywania tej kary (pomiedzy 1967 a 1977 rokiem w USA nie stracono ani jednego skazańca) – przyp. red.

Bundy trafił do celi śmierci tamtego lata, po tym jak sąd w Miami skazał go za „morderstwa Chi Omega”. Był to sensacyjny proces, pierwszy transmitowany w ogólnokrajowej telewizji. O prawo do jego relacjonowania ubiegało się 250 dziennikarzy reprezentujących widzów z pięciu kontynentów.

Nad salą sądową sędziego Edwarda D. Cowarta, mieszczącą się na czwartym piętrze gmachu sprawiedliwości hrabstwa Dade, stworzono rozbudowane centrum medialne, które miało obsługiwać sforę dziennikarzy. ABC News opłaciło specjalne łącze satelitarne, dzięki któremu transmisja z procesu według szacunków trafiła do 40 milionów amerykańskich domostw.

Gwoździem programu był sam oskarżony – prawdopodobnie największa zagadka w dziejach amerykańskiego systemu sprawiedliwości. Przystojny, arogancki, elokwentny, Ted każdego dnia ściągał do sądu zastępy zachwyconych nim *groupies*. Były wśród nich typowe blondynki pragnące przyciągnąć spojrzenie Teda. Były i siwowłose, zwiotczałe staruszki, które wychynęły z emeryckich bungalówów w dolnej części Collins Avenue i liczyły, że dane im będzie ujrzeć młodzieńca ochrzczonego przez prasę mianem „Malinkowego Mordercy” (*Love-Bite Killer*).

To nie był jakiś obszarpany odludek czy wredny, przygarbiony obwieś. Ted był fotogenicznym trzydziestodwulatkiem, dawnym studentem prawa z Tacomy w stanie Waszyngton, miał uroczą matkę i był republikaninem o delikatnie liberalnym zabarwieniu, a niektórzy uważali, że jego pewność siebie oraz polityczna bystrość mogłyby zaprowadzić go na fotel gubernatora albo nawet dalej. Jednak przeżarło go zepsucie wykraczające poza ludzkie pojęcie – a przynajmniej tak twierdziło oskarżenie. Był sądzony w sprawie napawającego obrzydzeniem przedostatniego spazmu jego rzekomej czteroletniej morderczej hulanki przez cały kraj, podczas której ponoć zgwałcił, okaleczył i zabił dziesiątki młodych kobiet.

Prokurator Larry Simpson stwierdził, że nad ranem w niedzielę Super Bowl 1978 roku³ Bundy wszedł po cichu na piętro siedziby korporacji studentek Chi Omega na kampusie Uniwersytetu Stanowego Florydy w Tallahassee. Tam, z konsekwencją i zdecydowaniem wygłodzonego rekina, krążył od pokoju do pokoju z dębową pałką.

Uciekł zanim spełnił swą żądzę, lecz w ciągu zaledwie kilku minut dwie dziewczyny zamordował, a dwie inne słuł do nieprzytomności. Jedną ofiarę, która otrzymała cios w czoło, odnalaziono z mózgiem na wierzchu. Drugą zabita zgwałcił analnie butelką sprayu do włosów clairol. Materiał dowodowy ukazał, że w chwili śmierci ugryzł ją w prawy sutek, niemal odrywając go od piersi. Następnie obrócił ją na brzuch i dwukrotnie zatopił zęby w jej lewym pośladku, zostawiając na nim poszarpaną ranę.

Gdy ratownicy medyczni wyprowadzali z łóżka jedną z oszołomionych ofiar, którym udało się ująć z życiem, musieli trzymać pod jej brodą plastikowy worek, do którego spływała krew z po-gruchotanej szczęki.

Następnie, gdy na miejscu kaźni pojawiła się policja, nadeszło doniesienie z miejsca odległego o zaledwie trzy przecznice – kolejna śpiąca studentka została brutalnie napadnięta w mieszkaniu. Ta dziewczyna przeżyje, ale tylko dlatego, że wściekle dudnienie pałki napastnika obudziło sąsiadki, które go odstraszyły.

Miesiąc później, 15 lutego 1978 roku, Ted Bundy został schwytany w Pensacoli na Florydzie. Oskarżono go o rzeź w Chi Omega, a potem również o porwanie i zamordowanie dwunastoletniej Kimberly Diane Leach, uczennicy z Lake City, którą uprowadził zaledwie sześć dni przed aresztowaniem.

Ławnicy dojdą do wniosku, że Ted ją zabił, po czym porzucił jej częściowo obnażone ciało pod opuszczoną oborą dla świń, gdzie znaleziono je prawie dwa miesiące później. Niektórzy eksperci medycyny sądowej przypuszczali nieoficjalnie, że napast-

³ Tj. 15 stycznia 1978 roku; *Super Bowl Sunday* to dzień finałowego meczu o mistrzostwo w futbolu amerykańskim ligi NFL – przyp. red.

nik poderżnął Kimberly gardło, a następnie wkładał nóż w jej genitalia.

Mężczyzna, który dopuścił się tych bezceństw, był uważany przez ludzi, którzy myśleli, że dobrze go znają, za szczerego, bystrego, nierzadko nawet wytwornego względem kobiet. Miał wysokie, świadczące o inteligencji czoło i odziedziczony po matce prosty patrycjuszowski nos. Jego błękitne ekspresyjne oczy schowane pod równymi brwiami, które czasami sobie regulował, bywały wręcz łagodne. Po dodaniu do tego wrażliwych ust powstawała iluzja głębi jego charakteru. Kobiety często nazywały go „pięknym”.

Przyjaciele płci męskiej podziwiali Teda, wyczuwali w nim siłę. Starsi mężczyźni cenili jego stateczne, konwencjonalne podejście do życia oraz dążenie do celu. Kilku traktowało go jak sympatycznego, świetnie sprawującego się siostrzeńca lub młodszego brata.

Jego przypadek – czy raczej przypadki – okropnie wstrząsnęły tymi ludźmi. Na długo zanim historia Teda zafascynowała i oczarowała ogólnokrajową publikę, jego znajomi ze stanu Waszyngton czy Utah przecierali oczy na widok doniesień prasowych twierdzących, że jest on seryjnym mordercą, koszmarem, który własnoręcznie zamordował masę niewinnych dziewcząt.

Początkowo jego zwolennicy kurczowo trzymali się wiary, że nastąpił jakiś fatalny błąd. Jednak w końcu ukazał się niepodważalny wzorzec, wzorzec gwałtownej śmierci i cierpienia, zadawanych przez człowieka o przyjemnej powierzchowności i wstrętnych, ukrytych pragnieniach.

W pierwszych latach zabijania Ted był tak diabolicznie zręczny, że co do jego ofiar częściej snuto przypuszczenia i zgadywano niż opierano się na dowodach. Kilka odnalezionych kości wskazywało, że napastnik dusił lub zabijał dziewczyny kijami, albo robił to i to. Wszystkie były młode, większość studiowała. Często najpierw za nimi chodził, później zagadywał pod jakimś pretekstem. Kilka

chwil i znikwały na zawsze. Znamy tylko jedną kobietę, która zdołała mu uciec, a okoliczności tej napaści wskazują, że gdy tylko ofiara znalazła się w jego władzy, jak najszybciej ją uciszał.

Często pokonywał setki kilometrów ze zwłokami lub nieprzytomną ofiarą w samochodzie, następnie rozbierał ją i porzucał we wcześniej wybranym miejscu w lesie. Czasami wracał nawet kilka razy odwiedzić szczątki i ponownie przeżyć swój czyn. Większość ciał odnaleziono w stanie zaawansowanego rozkładu. Czaszki i kości – niektóre miały na sobie wiele mówiące wyżłobienia po zwierzęcych zębach – bywały rozsiane na przestrzeni kilkuset metrów. Śladowe pozostałości tkanek miękkich wskazywały na gwałty i okaleczenia. Wgłębienia w czaszkach ofiar świadczyły o wściekłej furii ciosów napastnika.

Gdyby Ted Bundy pasował do publicznego stereotypu seksualnego mordercy – wariata, którego można poznać na pierwszy rzut oka – to te wszystkie tragedie być może nie wywołałyby takiej grozy. Ale „Ted był jednym z nas”, jak wyjaśnił mi później jeden z jego przyjaciół. Bundy zdruzgotał wygodne, z góry przyjęte opinie na temat rodzaju ludzi zdolnych do takich potworności, pokazał światu postać zbyt wstrętą, by ją podziwiać, a zarazem zbyt normalną, aby z gruntu ją potępić. Był sympatycznym, uroczym, morderczym mutantem.

A jednak nawet takie postrzeganie Teda było fałszywe, a przynajmniej powierzchowne. Zaowocowało jedynie pełnym trwogi przypiływem świadomości i zdziwienia, że stereotyp to zupełnie jałowe założenie. „Ludzie myślą, że przestępcy to garbate, zezowate potwory, prześlizgujące się gdzieś w mroku i pozostawiające za sobą śluzowate ślady. A jednak są oni istotami ludzkimi”, powiedział Bob Dekle, asystent prokuratora stanowego Florydy, który oskarżał Bundy’ego o morderstwo Kim Leach.

Lecz w Tedzie istniał ten oślizgły garbus. Jak nazwał to pewien znany psychiatra, mieszkał za „maską zdrowia psychicznego” socjopatę. Ta maska jest tylko wymysłem, ale i tak nie da się przez

nią przeniknąć. W Tedzie zezowata kreatura czała się na innej płaszczyźnie istnienia i można ją dostrzec wyłącznie dzięki tautologii; zanim uda się ją znaleźć, trzeba założyć jej obecność.

I tak jedyny lekarz, który nie zakładał, że Ted Bundy był mordercą, jako jedyny nie doszedł do wniosku, że jest psychicznie chory. Gdy pojawiało się założenie winy, niemal natychmiast zauważano w nim wszelkie klasyczne kryteria antyspołecznego zaburzenia osobowości: skłonność do przemocy, brak poszanowania dla prawdy i norm społecznych, złodziejstwo, impulsywność, niezdolność do odczuwania poczucia winy i wyrzutów sumienia. Ale wcześniej nikt nie potrafił dostrzec, czym jest zachowanie Teda, bo nikt nie potrafił zajrzeć za maskę. Tylko Ted, i to też jedynie częściowo, rozumiał tego garbusa.

Pozwalało mu to ukrywać rzeczywistość przed innymi i zaprzeczać jej przed samym sobą. Obdarzyło go również nadnaturalną mocą manipulowania innymi, posiadał do tego wręcz magiczny talent. I to właśnie dzięki niemu stał się tak efektywnym i trudnym do wysledzenia mordercą. Był kluczem, dzięki któremu dwukrotnie uciekł z aresztów w Kolorado.

I wykorzystywał go, by przywiązywać do siebie kobiety. Na przestrzeni lat kilka z nich wejdzie z Bundym w intymne kontakty fizyczne (z własnej woli), a wiele innych będzie tego chciało. Wzniecał u kobiet miłość gorącą i miłość beznadziejną, jak u żony Carole Boone, której niemal do samej egzekucji w 1989 roku wmawiał, że jest niewinny. Boone wyszła za Bundy'ego, gdy ten był już skazany na śmierć (pomogliśmy zaplanować ten sądowy fortel), a później urodziła mu córkę.

Artykuły prasowe o Tedzie akcentowały jego normalność, jego intelekt, jego atrakcyjność, jego republikanizm. Nie pisały, że kompulsywnie obgryzał paznokcie i dłubał w nosie, że wcale nie był geniuszem (IQ 124), że w college'u był co najwyżej niezłym studentem, a w szkole prawniczej poniósł fiasko, że kiepsko pisał, często źle wypowiadał słowa, że w nerwach się

jąkał, a jego wyrafinowanie było tylko powierzchowne. Na tle masowych, szaleńczych mordów Ted jawił się niczym teatralny geniusz zbrodni, postać niemal fikcyjna, która wcale nie była stereotypowym samotnikiem czy nieudacznikiem (bo na takiego *nie wyglądał*), musiał więc być czymś innym: Wcieleniem Zła, Pomiotem Szatana.

Nawet dokładniejsze profile Teda, niektóre oparte o dogłębne badania (i jeden autorstwa starszej koleżanki o wybujałej wyobraźni), były przepełnione przejawami pewnego respektu dla jego dzieła.

W „Reader’s Digest”, „The New York Times Magazine”, „Rolling Stone”, „Cosmopolitan” i innych czasopismach pojawiły się obszernie artykuły na jego temat. Ukazało się osiem książek (my popełniliśmy dwie). Wszyscy autorzy, z różnym powodzeniem, próbowali zgłębić zagadkę tego człowieka i każdy odkrywał innego Theodore’a Roberta Bundy’ego: *Zabójce z sąsiedztwa*, *Roztropnego nieznajomego*, *Nieznajomego obok mnie* (ironia niezamierzona) czy *Widmowego księcia*⁴.

Wszyscy autorzy rozważali możliwość lub dochodzili do wniosku, że Ted był w jakiegoś rodzaju obłądzie. Każdy przedstawiał dowody oraz rzekome spostrzeżenia, którymi czuł się zobowiązany podzielić z czytelnikami. Ostatecznie jednak każdy musiał samodzielnie zmierzyć się ze skrytym za zasłoną mroku wnętrzem Teda, jego Golgotą. Z początku wszyscy ponieśli fiasko, także my. To znaczy do dnia, w którym udało nam się w końcu poznać garbusa.

⁴ Tytuły książek dotąd nieprzetłumaczonych na język polski: *Ted Bundy: The Killer Next Door* Stevena Winna (1979); *The Deliberate Stranger* Richarda W. Larsena (1980; na podstawie tej publikacji powstał w 1986 roku film telewizyjny); *The Stranger Beside Me* Ann Rule (1980; adaptacja telewizyjna w 2003 roku); *The Phantom Prince: My Life with Ted Bundy* Elizabeth Kendall (1981). Na podstawie tych ostatnich wspomnień powstał film z 2019 roku *Podły, okrutny, zły* (*Extremely Wicked, Shockingly Evil and Vile*, reż. Joe Berlinger). Autorzy wymieniają książki, które ukazały się na przełomie lat 70. i 80.; od tamtego czasu lista publikacji w języku angielskim poświęconych Bundy’emu znacznie się rozszerzyła – przyp. red.

Zanim mieliśmy okazję odbyć tę konfrontację, pokonaliśmy z Hugh pełną męki drogę. Nasza podróż rozpoczęła się w 1978 roku, od telefonu mojej agentki Kathy Robbins. Usłyszałem od niej, że Ted Bundy, szeroko znany domniemany morderca, chce opowiedzieć swoją historię na kartach książki.

Pracowałem wówczas dla magazynu „Business Week”. Wiele lat wcześniej jako dziennikarz „Newsweeka” opisałem kilka morderstw i porwań, przede wszystkim w 1973 roku sprawę pedofila mordercy z Houston Deana Corlla, osławionego „Cukiereczka”, który wraz z dwoma młodymi zbrodniarzami torturował i zabił nawet trzydziestu chłopców. Niemniej seryjni mordercy absolutnie nie byli moją specjalnością.

Po namyśle zadzwoniłem do Hugh, który pracował wtedy w Dallas jako główny śledczy programu informacyjnego 20/20 w stacji ABC. Miałem już okazję współpracować z nim w Houston, gdy był szefem tamtejszego oddziału „Newsweeka”. To on przydzielił mnie do sprawy Corlla. Dzięki temu oraz kilku innym tematom wpoił mi większość mojej reporterskiej wiedzy. Biorąc pod uwagę samą złożoność historii Bundy’ego – w przeciwieństwie do innych przestępczych sag tego rodzaju jego była mocno rozciągnięta zarówno w przestrzeni, jak i w czasie, i wymagała pracy w kilku stanach – Hugh był idealnym partnerem. Jego dziennikarskie doświadczenie w kontaktach z przestępcami i glinami sięgało sprawy rodziny Clutterów, czyli rzezi, jaką Dick i Perry w 1959 roku urządzili na farmie w zachodnim Kansas. Truman Capote przerobił później tę historię na arcydzieło *Z zimną krwią*. Aynesworth relacjonował tę niecodzienną zbrodnię dla United Press International.

Hugh bez dłuższego wahania zgodził się podjąć ze mną sprawę Teda, lecz żaden z nas nie był przygotowany na to, dokąd nas ona zawiedzie.

Pierwsza niespodzianka spotkała mnie.

Okazało się, że Ted dorastał niecałe 10 kilometrów od mojego domu. Mieliśmy wielu wspólnych znajomych. Co więcej, obaj

urodziliśmy się w Burlington w stanie Vermont, Bundy w 1946 roku, ja w 1948. Gdy byliśmy młodzi, nasze matki przeniosły się do Tacomy w stanie Waszyngton. Ted w chwili przeprowadzki był jedynakiem, ja najmłodszym z czworga dzieci. Żaden z nas nie znał biologicznego ojca, choć w przeciwieństwie do niego ja nie byłem niesłubnym dzieckiem.

Obaj chodziliśmy do szkół publicznych w Tacomie, obaj ulegaliśmy miejscowym modom, później pijaliśmy te same lokalne piwa i znaliśmy ten sam rodzaj dziewczyn. Obaj mieliśmy niebieskie oczy, byliśmy podobnego wzrostu, wagi, postury, mieliśmy podobną cerę. I obaj byliśmy mańkutami.

Pewnego dnia wyliczyłem te ciekawostki mojej siostrze Susan.

– No więc, zabiłeś kogoś? – zapytała.

– Nie – odparłem.

– Ted mówi to samo. – Wybuchła śmiechem.

Wielkie dzięki, Sue.

Ted utrzymywał, że to jest ofiarą – niekompetentnych obrońców, jadowitego rozgłosu poprzedzającego proces i zmanipulowanych dowodów. Opowiadał, że został złapany w potworny gąszcz okoliczności, które pozbawiły go obiecującego życia, ducha obywatelskiego i pchnęły ku niesprawiedliwym oskarżeniom, więzieniu oraz trzem wyrokom śmierci. Powtarzał bez końca, że jest niewinny.

W obu jego procesach *naprawdę pojawiły się* niepokojące elementy. Naoczni świadkowie lali wodę i wypowiadali się bardzo mętnie. Dowody naukowe były wówczas niepewne i budziły różną odmienne opinie u wzywanych przez obie strony biegłych. Nie znaleziono żadnych odcisków palców. W rzeczywistości w kilkunastu sprawach, od Seattle po Florydę, które policja chciała powiązać z Bundym, nie pojawiła się namiastka fizycznego dowodu, który niezaprzeczalnie pokazałby, że był zamieszany w coś więcej niż kradzież samochodów.

Jak mieliśmy się przekonać, kwestia dowodów była osobistym sprawdzianem winy i niewinności Teda, częścią jego skomplikowanej maszyny mentalnej, która przerodziła argumentację w przekonanie, a chwiejną retorykę w niepodważalne wyznanie wiary. Wkrótce przyszło nam się z tym zmagać.

Na początku Ted raczył mnie opowieściami o swoim dzieciństwie (kiedyś fantazjował, że adoptowali go Roy Rogers i Dale Evans⁵), o karierze akademickiej (myślał o pracy w wymiarze sprawiedliwości), o miłościach i frustracjach. Dobrze pamiętał szczegóły ucieczek z więzień, zmienne losy swej edukacji oraz zaangażowanie w republikańskie życie polityczne stanu Waszyngton. Opowiadał o swoich adwokatach, o sędziach i ławnikach.

Ted przytaczał opowieści z ośmiu zakładów zamkniętych, w których przebywał, i dzielił się tysiącami otrzymywanych listów. Zakonnice, pacjenci szpitali dla psychicznie chorych, gospodynie domowe, prawnicy, *groupies* – sami obcy mu ludzie – pisali do niego na okrągło z ofertami zbawienia, seksu, pieniędzy, przyjaźni, przebaczenia czy z wyrazami wstrętu. Pewien mężczyzna tytułujący się mianem lekarza medycyny zaproponował Tedowi zamianę mózgów. Innego ciekawiło, czy Ted zgodziłby się poddać anabiozie w miejsce krzesła elektrycznego. Cały pomysł polegał na tym, że lekarze mogliby swobodnie pobierać od nieświadomego Bundy'ego organy i poddawać go wiwisekcji.

Bundy uważał, że mnie i Hugh tego rodzaju materiały powinny wystarczyć. Na pewnej płaszczyźnie był swoim największym fanem. Oczami wyobraźni widział ekscytującą, plotkarską książkę pełną sprośnych szczegółów, jak bestsellery o hollywoodzkich gwiazdorch. Nie miał ochoty rozmawiać o winie – z wyjątkiem wypierania się jej – oraz aktywnie próbował odwieść Hugh od badania wytoczonych mu spraw, czyli jakoby głównego powodu, dla którego podjął z nami współpracę.

⁵ „Śpiewający kowboj” Roy Rogers i jego żona Dale Evans byli niezwykle popularnymi w latach 50. aktorami telewizyjnymi, znanymi głównie z serialu *The Roy Rogers Show* (1951-1957) – przyp. red.

My widzieliśmy to trochę inaczej. Według nas treść książki miały determinować nasze ustalenia na temat Teda, a nie to, co on sam chciał nam opowiadać. Rozmawialiśmy z nim nie tylko jako biografowie, ale też licencjonowani prywatni detektywi, przydzieleni do adwokatów pracujących nad jego potencjalnymi apelacjami.

Bylibyśmy zachwyceni, gdybyśmy w tym charakterze mogli dowieść jego niewinności. Bardzo szybko jednak doszliśmy z Hugh do wniosku, że Ted jest co do joty mordercą, za którego uważają go oskarżyciele i policja, a może nawet miał na swoim koncie więcej ofiar, niż sądzili. Nasza najkrótsza lista ofiar obejmowała dwadzieścia jeden nazwisk młodych kobiet. Wydawało się możliwe, że zabił ich dwukrotnie więcej. Nie interesowało nas więc płodzenie lekkiej, wciągającej opowieści, na jaką liczył Ted.

Bundy jednak nie miał nic do zyskania na przyznaniu się nam do winy. Był już dwukrotnie sądzonym i dwukrotnie skazanym mordercą. Oczywiście wiedział, że jest winny i że nic, co napiszemy, nie zapobiegnie jego ostatecznej randce ze Starą Iskierką, która miała nastąpić osiem lat później.

Gdy próbowałem skierować nasze rozmowy w celi śmierci na kwestie zasadnicze, bałamucił albo wprost kłamał. Nie tylko nie miał do zaproponowania żadnych uniewinniających argumentów, ani jednego wiarygodnego alibi na *żadne* z zarzucanych mu morderstw czy choćby korzystnej interpretacji znanych faktów, ale też zamienił nasze spotkania w grę w ciuciubabkę. Czasami narzekał, że zawodzi go pamięć, a czasami popadał w długie okresy nieprzeniknionego milczenia.

Szybko nas to zmęczyło i zaczęliśmy realnie rozważać zwinięcie całego projektu. Niemniej kilka dni później udało nam się odnotować dwie poszlaki behawioralne, zaburzenia w osobowości Teda, które pozwoliły nam pomyśleć o pewnym nowatorskim podejściu do tematu.

Uderzyło nas, że na poziomie emocjonalnym Ted reprezentuje skrajny przypadek rozwoju wstrzymanego na wczesnym etapie. Na podstawie tego, co nam opowiadał, oraz czego Hugh dowiedział się o jego przeszłości, można by uznać, że mamy do czynienia z dwunastolatkiem – nad wiek rozwiniętym, rozpieszczonym nastolatkiem. Abstrahując, czy było to przyczyną, czy skutkiem jego przypadłości, to widoczne upośledzenie emocjonalne zaowocowało tym, że działaniami dojrzałego męskiego ciała kierował mózg schorowanego dziecka.

Drugim wyraźnym sygnałem była jego znakomita umiejętność wypierania się. Potrafił kompartmentalizować⁶, był wyborynym racjonalizatorem. Jego umysł był labiryntem o wysokich ścianach. Zrozumieliśmy, że to klucz do zrozumienia całej jego (dziwacznej) budowy mentalnej.

Uważaliśmy, że dodając jedno do drugiego – emocjonalną niedojrzałość i siłę kompartmentalizacji – można wyjaśnić, jak Ted potrafił żyć ze swoimi morderstwami, równocześnie się tego wypierając. Osiągnięcie tego poziomu zrozumienia wymagało tygodni i udało nam się, gdy już zamierzaliśmy zostawić Teda samego ze swoimi fantazjami, zarozumiałstwem i bardzo osobliwie ofiarną żoną. Dzięki temu nowemu spojrzeniu postanowiliśmy spróbować jeszcze jednego fortelu.

Dziecinność Teda była posunięta do takiej skrajności, że przyszedł nam na myśl małe urwisy, które wypierają się winy nawet w obliczu przytłaczających dowodów. Przykładem może być brzęk tłuczonej szyby i piłka do baseballu leżąca na podłodze w domu. Za rozbitym oknem stoi dwunastoletni Johnny, który trzyma baseballowy kij. Ewidentnie coś wie na temat wybitej szyby, ale tak bardzo boi się przyznania do winy, że wykręca się od wszelkich pytań i idzie w zaparte, że nie ma o niczym pojęcia.

⁶ Kompartmentalizacja to zaburzenie osobowości polegające na rozdzieleniu części jaźni, które zachowują się, jakby posiadały odrębne i różne systemy wartości – przyp. tłum.

Gdyby jednak wyeliminować mające charakter przyznania się „ja” i zapytać chłopca, *jak myśli*, w jaki sposób piłka znalazła się po drugiej stronie okna, mógłby wykorzystać szansę opowiedzenia prawdy w zawołowany sposób, który dla jego niedojrzałego umysłu wcale nie byłby równoznaczny z wzięciem winy na siebie. Bundy nawet proponował takie reguły gry, gdy postępowanie prawne było na etapie, na którym dyskutowano jeszcze o ugodzie. Ted zasugerował, żeby po prostu dano mu spokój dla dobra równowagi jego życia, by wymierzono mu wyrok, który zaakceptuje bez dalszych bojów prawnych, byle nie musiał mówić: „Zrobiłem to”.

A zatem podaliśmy mu tę propozycję w nowym opakowaniu.

Zapytałem go, dlaczego nie mógłby *pospekulować* na temat osobowości człowieka zdolnego do dopuszczenia się czynów, o które on sam został oskarżony (i skazany). Słowo „przyznanie” nie padło ani razu. Przypomniałem Tedowi, że oczywiście z jak najbardziej zasadnych powodów nikt nie wie o całej sprawie tyle co on. Dysponował wiedzą z pierwszej ręki, zdobytą dzięki temu, że był podejrzanym o popełnienie tych wszystkich morderstw, no i przecież studiował kiedyś psychologię; do tego, rzecz jasna, dochodziła jego inteligencja.

Zgodził się to przemyśleć, co od razu pokazało, że się co do niego nie pomyliliśmy. Nazajutrz wróciłem do więzienia i zastałem Bundy’ego nie tyle skłonnego się zgodzić, co wręcz rozgrzanego zapalem do naszego pomysłu.

Był 27 marca 1980 roku, dzień, w którym poznałem garbusa.

W małym pokoju widzeń Ted pochylił się, zapalił papierosa, złapał mój magnetofon i przytulił go jak małe dziecko. Z początku nie wiedziałem, co robi. A on spokojnym, profesorskim tonem zaczął opowiadać o cechach współczesnego społeczeństwa – o przemocy, o uprzedmiotowieniu kobiet, o anonimowości, o stresie. Gdy chciałem mu przerwać, uciszył mnie i kazał uzbroić się w cierpliwość. Trochę miało to zająć.

Po pewnym czasie wreszcie przeszedł od socjologii do konkretów i zaczął opisywać mordercę. Wyjaśnił, że „w tej jednostce” mieszka pewien byt – Ted czasami nazywał go „istotą”, „zaburzoną jaźnią” lub „złośliwym bytem”. Opowieść o jego początkach rozwijała się nieśpiesznie, chronologicznie, była spójną historią wzbierającej socjopatii, która karmiła się otaczającą ją negatywną energią.

Bundy sporadycznie rzucał jakieś pytanie, ale ja byłem tam głównie od płacenia za obiady, odpalania mu papierosów i wymieniania taśm w magnetofonie. Co do szczegółów był uważny i omijał wiele spraw, w przypadku których, jak zgadywałem, bał się, że jedno nieopatrzone słowo może powiązać go z czyjąś śmiercią. Bundy nie miał żadnego interesu w kolejnym procesie o morderstwo. A jednak, chroniony wypowiedziami w trzeciej osobie, zagłębił się w wyjaśnienia tego, jak ogólne myśli o seksie zaczęły skupiać się na przemocy seksualnej, jak „byt” wykorzystywał pornografię, żeby się kształtować i obierać cele, jak choroła ściągała go w kierunku coraz brutalniejszych przejawów przemocy i jak morderca maskował swoją zaburzoną jaźń przed niczego niepodejrzewającymi bliskimi.

Gdy Ted zaznajamiał mnie ze swoim prywatnym zakładem dla obłąkanych, dokładał starań, żebym nie wyrobił sobie nadmiernie uproszczonych opinii na ten temat. Chciał, abym *zrozumiał* – na tyle, na ile byłem w stanie. Podkreślał, że morderca nie cierpiał na rozdwojenie jaźni ani na schizofrenię. „To coś naprawdę bardziej wyrafinowanego”, powiedział.

Nazwał to „sytuacją hybrydową”, socjopatologią, w której „byt” istniał zarówno w zabójcy, jak i był *jego częścią*; nie był jakąś obcą istotą ani drugą jaźnią, lecz czysto niszczycielską siłą, która narastała od środka. Kilku psychiatrów, którym puściliśmy później nagrania, stwierdziło zgodnie, że Ted bez wątpienia opowiadał o sobie. Kluczowe elementy trzecioosobowej narracji mogły pochodzić tylko z jego własnego doświadczenia. Ja nie

miałem wykształcenia, które pozwalałoby mi wychwycić te klucze, ale i tak ani przez chwilę nie wątpiłem, że Ted opowiadał *własną* historię. Gdy tylko garbus się pojawił, przemówił bezpośrednio do mnie.

Ted ubierał część swoich rewelacji w metafory. Inne opisywał z wręcz kliniczną obiektywnością. Lecz wspólnym mianownikiem było jego własne poczucie odkrywania, gdy starał się ubrać w słowa rzeczy niewysłowione. Było trochę tak, jakby również on sam słuchał genezy garbusa po raz pierwszy. „Jak opisałbyś smak bouillabaisse? – zapytał retorycznie. – Niektórzy zapamiętują smak małży, inni barweny”.

Co za dziwne porównanie.

Upierał się, że przemoc nigdy nie była celem samym w sobie, że seks spełniał jedynie powierzchowną funkcję i że w pewnym stopniu istniała możliwość, że ofiarom oszczędzano bólu. Nie żeby „bytem” kierowały jakieś humanitarne odruchy, po prostu zaspokojenie nie polegało na napaści, lecz na posiadaniu. To klucz do zrozumienia Teda.

Stawało się coraz bardziej oczywiste, że morderczy szal był napędzany przez dziecięcy umysł. Bundy opisywał nam prymitywne fantazje, które pasowałyby bardziej do niedoinformowanego dwunastolatka niż dorosłego mężczyzny. Zawsze będziemy się zastanawiać, na jak wczesnym etapie życia Ted stał się mordercą. W latach, w których zabijał, utrzymywał też kilka dorosłych relacji seksualnych, ale jak mi wyjaśnił, zaburzona jaźń – to coś w nim, co zmuszało go do mordowania – poznawała ofiary poprzez osnowę swej wynaturzonej percepcji. Bundy mógł powstrzymać garbusa przed rozdarcie maski i całkowitym zniszczeniem go jako człowieka jedynie dzięki swej zadziwiającej kompartmentalizacji. Kiedy w końcu to się stało, *Ted stał się tym garbusem*. Przestał go skrywać, on i byt złączyli się w jedno.

Miałem wrażenie, że mierzę się z zupełnie nową formą obłądu. Wydawało mi się, że ta choroba nie tłamsi, nie pokonuje

Teda, lecz w nim zamieszkuje. Obaj, człowiek i garbus, wzajemnie na siebie oddziaływali. Przede wszystkim dostrzegłem, że w kreowaniu owego bytu brały udział elementy woli, *świadomej* woli. Jakby Ted *chciał* zostać mordercą.

Widząc to, dowiadując się tego o Tedzie, gdy siadaliśmy obok siebie w dusznym, ciasnym pokoiku w samym środku więzienia, sam zacząłem oddzielać się od tego, co słyszałem. Kiedy Bundy opowiadał niskim głosem, tuląc magnetofon i rzucając krótkie spojrzenia na strażników, którzy od czasu do czasu zerkali na nas przez szklane okienko w drzwiach, wyrósł przede mną mur, niezbędny mur braku wrażliwości.

Zdarzały mu się momenty intensywnego skupienia, jego twarz wtedy tężała, a w głosie pojawiały się odległe, lodowate nuty, jakby garbus przybierał cielesną formę. Kilka razy na jego prawym policzku pojawiała się pozioma biała kreska, coś jakby blizna. Fascynowała mnie, bo w ogóle nie pasowała do rysów jego twarzy. Jakby po jego skórze przejechał niewidzialny paznokieć.

Nie bałem się w tych chwilach. Nie bałem się o własne bezpieczeństwo, a przynajmniej nie bardziej niż na widok rekina krążącego w toni za grubą szybą akwarium. Znacznie bardziej niepokoiły mnie chwile, w których przyciskałem Teda, aby wyjaśnić, w jaki sposób morderca doprowadzał do uległości ofiary. Bundy wybuchał szczerym śmiechem i mówił: „Steve, ty też mógłbyś być skutecznym masowym mordercą⁷. Naprawdę sądzę, że masz to w sobie!”.

Czy mi się to podobało, czy nie, związałem się z nim, choćby tylko dlatego, że pozwolił mi ujrzeć garbusa, że zaprowadził mnie do swojego wewnętrznego świata. Gdy raz ujrzysz taką czystą grozę, nigdy jej nie zapomnisz.

⁷ Na przełomie lat 70. i 80. nie funkcjonowało jeszcze pojęcie „seryjny morderca”, badania nad tego rodzaju przestępstwami dopiero się wówczas zaczynały. Stąd też występowanie w tekście określenia „masowy morderca”, odnoszące się w rzeczywistości do osoby, która zabiła wiele ofiar na raz lub w krótkim odstępie czasu – przyp. tłum.

Po wielu tygodniach nie byłem w stanie więcej przyswoić. Przyszła kolej Hugh. W następnych miesiącach Bundy zbliży się do przyznania do winy bardziej niż przy mnie, lecz zanim to nastąpi, Hugh i Ted nie raz na siebie warkną i się pokłócą.

Moja rola polegała na traktowaniu Teda łagodnie, zaprzyjaźnieniu się z nim, pozwoleniu mu na dyktowanie warunków pokoju i dzierżenie kontroli. Hugh grał twardo i Bundy nie był szczególnie zachwycony jego brakiem tolerancji na nadmiernie zawiły tok rozumowania.

„Jakie zaspokojenie może przynieść stosunek z martwą dziewczyną?”. Było to jak najbardziej zasadne pytanie, ale gdy Hugh zadał je Tedowi, który dopuszczał się z martwymi kobietami najróżniejszych czynów seksualnych, Bundy był wyraźnie niezadowolony. Z kolei Hugh denerwowały nieustanne westchnięcia Teda, mające manifestować jego wyniosłe zniecierpliwienie prostym, nieowijającym w bawelnę detektywem. Hugh zawzięcie męczył Teda pytaniami z moich rozmów z Bundym, na co ten zawsze się krzywił. „Nie zamierzam w to wchodzić – mawiał. – To za słabo zamaszkowane. I tak zapędziłem się dalej niż chciałem”.

Ale co się odwlecze, to nie uciecze. Tamtego parnego, czerwcowego dnia w 1980 roku ruszyliśmy z aktówkami w dłoniach ku głównej bramie więzienia. Strażnik z karabinem w dłoniach mierzył nas uważnym spojrzeniem ze stanowiska na wysokiej wieży. Przeszliśmy przez zewnętrzne przejście, w którym jedna brama musi zostać zamknięta, zanim otworzy się druga. Gdy z trzaskiem zamknęły się za nami wewnętrzne drzwi, betonowy chodnik zaprowadził nas do wejścia do samego więzienia i dalej, do niewielkiej poczekalni. Powitał nas tam mężczyzna pracujący w otoczonej grubym szkłem kontrolce.

Nazywał się John Boutwell, był weteranem branży więziennej z dwunastoletnim stażem. Odpowiadał za sprawdzenie naszych aktówek i dokumentów. Przeważnie zajmowało to jakieś dziesięć minut – dość długo, by przyzwyczaić się do niemilknącego

więziennego łoskotu i przejrzeć dział sportowy w „Gainesville Sun”. Gazeta prawie zawsze leżała schludnie złożona na półce za szybą.

John Boutwell był skrupulatny. Rutyna nie stępiała zainteresowania, z jakim sprawdzał nasze rzeczy; zapytał nawet uprzejmie, czy może zajrzeć do magnetofonów. Zawsze prosił mnie o okazanie licencji prywatnego śledczego, choć znaliśmy się już na tyle, że mówiliśmy sobie po imieniu. Nigdy nie zapominał o porównaniu mojego opisu fizycznego, wydrukowanego na pierwszej stronie karty, ze zdjęciem w prawie jazdy.

Następnie podeszliśmy do trzecich zablokowanych drzwi i przygotowaliśmy się do przejścia przez wykrywacz metalu Boutwella. Musiałem pozbyć się drobnych, długopisów, paska, kluczy, butów, okularów. Wiekowa maszyna nadal była na tyle sprawna, że potrafiła wykryć centy w przegródce na monety.

W towarzystwie strażnika przeszliśmy przez jeszcze jedną brzęczącą bramę i ruszyliśmy długim, żółtawym korytarzem, wyłożonym wywoskowanym przez więźniów na błysk linoleum. Ściany były nagie i gdyby zewsząd nie atakował nas zgrzyt metalowych drzwi, moglibyśmy pomylić tę część więzienia z funkcjonalnym, schludnie utrzymanym skrzydłem jakiegoś urzędu.

Po kolejnych kilku krokach, za kolejną bramą pilnowaną przez kolejnego pracownika służby więziennej za kolejnym przeszkleniem, dotarliśmy do centrum zakładu – skrzyżowania z czterema odnogami, zwanego Grand Central. Po prawej przez sięgające od podłogi po sufit kraty widzieliśmy bloki z celami ciągnące się po obu stronach długiego, przestronnego przejścia. Na jego samym końcu, za zamkniętymi drzwiami, znajdowała się Stara Iskierka. Na wprost przed nami mieściła się więzienna pralnia. Natomiast za nami było pięć zamkniętych bram wykonanych ze specjalnej stali, tak twardej i kosztownej w produkcji, że wiele stanów nie mogło sobie pozwolić, żeby korzystać z niej przy budowie nowych więzień.

Minął nas milczący tłumek więźniów, głównie czarnych. Szli do pracy w pralni. Żaden nie wyglądał na więcej niż dwadzieścia jeden lat. Rozespany strażnik prowadził zakutego białego, który zabił policjanta. Skręciliśmy w lewo, w stronę biura Pułkownika, czyli kilku pokoi (także chronionych stalowymi bramami), z których czuwał nad bezpieczeństwem osadzonych. Dwa z nich, wyposażone w szklane okna umożliwiające obserwowanie znajdujących się w środku osób, wyznaczono na miejsce, w którym więźniowie mogli rozmawiać z prawnikami lub śledczymi. Trzeba było je rezerwować z wielodniowym wyprzedzeniem.

Obok biura Pułkownika stała jaskrawożółta klatka. Siedziało w niej siedmiu więźniów. Sześciu było młodymi czarnymi w wydanych przez zakład niebieskich spodniach roboczych; oznaczało to, że należeli do ogólnej populacji więzienia i może nie spędzą w nim reszty życia. Siódmy osadzony, biały, także miał na sobie niebieskie spodnie, ale oprócz tego także morelową koszulkę nałożoną na szarą bluzę dresową. Był przyzwyczajony do florydzkich upałów. Na pozbawionych skarpetek stopach miał zielone, plastikowe klapki.

– Hej, ziomus! – zawołał do mnie Ted jak zwykle. – Gdzie się podziewałeś?

Naśladował ciężki południowy akcent czarnych. Cekał w klatce od ponad dwóch godzin.

Zazwyczaj już po kilku minutach potrafiłem ocenić, czy możemy liczyć na produktywne spotkanie. Po Tedzie należało oczekiwać wszystkiego. Mógł być przygnębiony, zjarany, zły, rozkojarzony lub po prostu ośpiał. Tamtego poranka był apatyczny i zrzedliwy, dzień nie zapowiadał się dobrze.

– Widziałeś się z Carole? – zapytał.

Od zawsze była to dla nas drażliwa sprawa. Małżonka Teda żyła na granicy ubóstwa w Gainesville, skąd w każdy weekend wraz z nastoletnim synem Jamey'em przyjeżdżała na widzenie z mężem i ojczymem jej dziecka. Bundy ciągle wiercił nam dziury

w brzuchach, żebyśmy utrzymywali z nią kontakt i informowali ją o naszych postępach. Z Boone dało się porozmawiać – miała bardzo cięty dowcip – ale Bundy kreował niewygodną sytuację, bo Carole, którą wiara w jego niewinność trzymała przy życiu, nie знаła treści naszych rozmów. Wiedziała, że ja i Hugh uważamy Teda za winnego, przez co nasze spotkania były niezręczne. Miała nas za zasługujących na pogardę durniów, nie lepszych od policjantów i prokuratorów, którzy wsadzili jej ukochanego „Króliczka” do celi śmierci.

Tamtego dnia miałem akurat wiadomość od Carole sprzed dwóch dni, więc dałem ją Tedowi. Spojrzał na nią, uśmiechnął się przelotnie i zapytał o moje zdrowie. Pomimo jego aktualnego miejsca pobytu i trzech wyroków śmierci, zawsze interesował się moimi kiepskimi nawykami żywieniowymi i piciem. Pewnego razu założyliśmy się, który z nas zejdzie pierwszy. Ted wisi mi 50 doliców.

Odparłem, że ogólnie nie narzekam, po czym rozpoczęliśmy we trzech chaotyczną pogawędkę na różne tematy, od kampanii prezydenckiej Reagana po obawy Teda, że jego pasierb wyrośnie w złym klimacie moralnym. I tak zeszyły dwie przydzielone nam godziny, po czym zaczęliśmy zbierać się do wyjścia. Ted był wtedy na głowie Hugh. Ja z kolei miałem głowę pełną przemyśleń, które musiałem jakoś uporządkować i masę taśm do przepisania. Dopiero potem mogłem wziąć się za szkicowanie tej skomplikowanej sagi.

Gdy wychodziliśmy, spojrzałem ostatni raz na ręce Teda. Były chude, wręcz delikatne. Miał długie, wąskie palce i zadbane paznokcie; niedawno uwolnił się od nałogu ich obgryzania. Ponownie pomyślałem o przerażającej sile, z jaką trzeba było zaciskać węzły, aby lina i skóra ofiar przemieszały się ze sobą. Skąd brał energię do miażdżących ciał uderzeń dębową pałką?

Zapoznał nas z „bytem”, próbował go objaśnić, a potem w końcu załamał się (albo może zostanie przemieniony) pod na-

ciskiem konieczności skonfrontowania się z samym sobą. Lecz nigdy nie uda mu się wykonać ze mną i z Hugh tego ostatniego kroku, który pozwoliłby pojąć morderstwo, którego groteskowość wykracza poza wszelką wyobraźnię. Nigdy tak naprawdę *nie poznaliśmy* garbusa. Lubiliśmy myśleć, że to w nas leżała granica zrozumienia. Przepisując nagrane w więzieniu taśmy, bez końca o tym słyszałem. Z czasem udało nam się o tym opowiedzieć. Nadać temu kontekst. Ale nie zdołaliśmy objąć tego umysłami, jak smaku bouillabaisse.